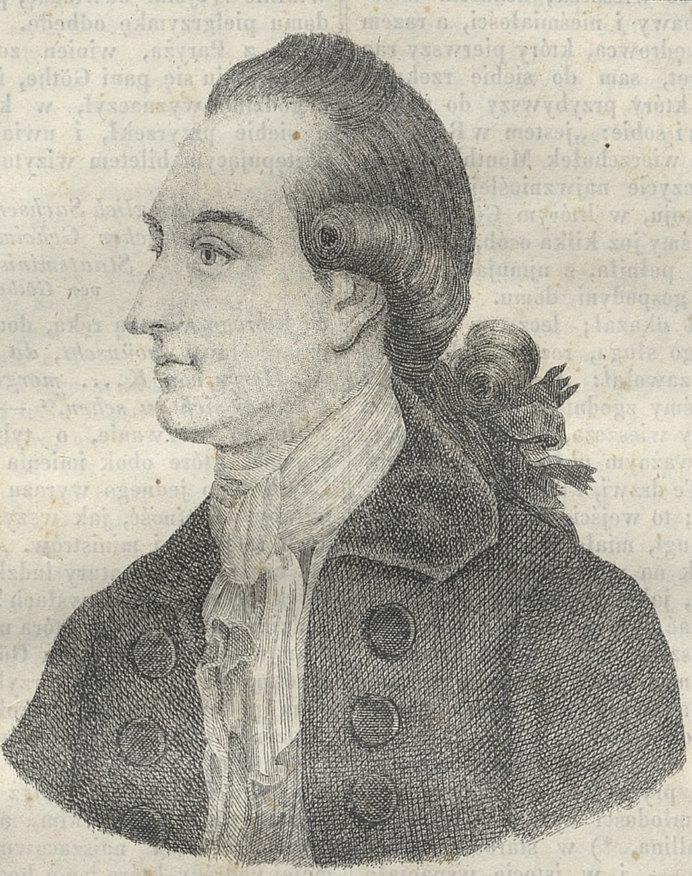
Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 36.** **Leszno, dnia 9. Marca 1839.**



Goethe w młodzieńczym wieku, podług olejnego obrazu Maja, z roku 1779.

Wizyta Polaka u Goethego w roku 1830.

(Ciąg dalszy.)

W roku 1829. jadąc do Francyi z Alexandrem hr. B. zatrzymałem się dni parę w Wejmarze, w tych małych Atenach niemieckich. — Pierwszem staraniem mojém było, dostąpienie zaszczytu poznania najsławniejszego Germanii wieszcza. — Nie łatwo Göthe, ten król myśli, ten władzca umysłowy Niemiec, przypuszczał do siebie; ażeby uzyskać pozwolenie, złożenia mu swego hołdu, należało być mu z imienia znanym, lub dobrze zaleconym. Mimo wrodzoną uprzejmość, Göthe przymuszony był utrudnić przystęp do siebie; inaczéj wszystkie godziny dni swoich, musiałby był poświęcić, przyjmowaniu tych, którzyby ze szczerém uwielbieniem, lub z natrętną ciekawością spieszyli do niego. — Ciągle musiałby był być, że tak powiem, na wystawie. — Łaskawe przyjęcie, jakiego oba z towarzyszem podróży doznaliśmy u dworu wejmarskiego, wstawienie się osób, których żądaniom Göthe chętnie dogadzał, a nadewszystko uprzejmość synowy jego, któréj przymioty duszy, dowcip, silne czucia i wyobraźnia żywa, czyniły ją godną, być Göthego synową, wyjednały nam pozwolenie, odwiedzenia go w jego domu. — Na dni parę przed naszym przyjazdem do Wejmaru, został on uradowany przybyciem swego dawnego przyjaciela, hrabiego Reinharnt, ministra francuzkiego przy związku niemieckim, i jego młodéj małżonki. — Każdego więc wieczoru zbierał Göthe u siebie dobrane grono, ażeby przyjacielowi uprzyjemnić pobyt w Wejmarze. — I my także otrzymaliśmy wezwanie, spędzenia chwil kilku w jego domu, z którego nie omieszkaliśmy korzystać. — Gdym się zbliżał do mieszkania Göthego, doświadczyłem wrażenia, jakiego tylko w ważnych życia okolicznościach doznajemy w tych chwilach, których pamięć na

zawsze pozostaje, w chwilach, w których dusza oczekuje na nieznane jéj dotąd uczucie i roskosz. Gdym już przeszedł próg jego domu, wschody, ozdobione rzeźbami, między któremi głowa Apollina Belwederskiego, pierwsze trzymała miejsce; gdym się już znalazł między ścianami, wśród których miałem ujrzeć wieszcza; uczułem w sobie pewien rodzaj obawy i nieśmiałości, a razem doznałem uczucia wędrowca, który pierwszy raz wstąpiwszy na okręt, sam do siebie rzeknie: „jestem na morzu;“ który przybywszy do miasta nieśmiertelnego, mówi sobie: „jestem w Rzymie;“ który, doszedłszy na wierzchołek Montblanc, powie: „jestem na szczycie najwznioślejszéj góry w Europie.“ W pokoju, w którym Göthe przyjmował gości, zastaliśmy już kilka osób, a z niemi synowę jego, która pełniła, z ujmującą uprzejmością, obowiązki gospodyni domu. — Göthe jeszcze się nie był ukazał; lecz po krótkiéj chwili, ulubiony jego sługa, rozsunął drzwi od pokoju następnego i zawołał: „Herr von Göthe!“ na ten głos wszyscyśmy zgodnie z uszanowaniem powstali, i ujrzeliśmy wieszcza, który wszedłszy, uprzejmym, lecz poważnym ukłonem, przywitał zebranych gości. — Te drzwi, które się nie otwierały, lecz rozsuwały; to wejście jego, oznajmione poprzednio głosem sługi, miało może coś teatralnego w sobie, i jak na mnie, nie powiększyło bynajmniéj wrażenia, jakie wspaniała postać jego uczyniła. — Ta postać była wzniosła i poważna, rysy jaśniały gieniuszem, oczy ogniem natchnienia płonęły. Dwa zmarszczki, któremi przeorane było jego czoło, nadawały mu wyraz potęgi umysłowéj, trudnéj do opisania; zdawało się, że tamtędy wylewają się jego pomysły, ztamtąd iskry jego gieniuszu pryskają. — Niemcy mówią o nim, że w młodości był podobnym do Belwederskiego Apollina, *) w starości do Jowisza piorunującego — i w istocie wspaniała jego sędziwość, szlachetność jego rysów, mogła natchnieniu rzeźbiarza posłużyć. — Twarz, mniéj wydawała autora Wertera, jak Fausta; ja w niéj łatwiéj myśl potężną, jak tkliwe czucie wyczytałem. — Zdawało mi się nawet dostrzedz na niéj wyraz tego charakteru, który zgłębione tajemnice życia nadają. — Lecz całe ułożenie Göthego, jego poważna uprzejmość, okazywały, że ten człowiek, który tak czuje silnie, tak głęboko myśli, ulegał zawsze prawom społeczeństw ukształconych; że nawykł do powietrza dworskiego, i że często przestawał z ludźmi znakomitymi. — Gdy wszedł Göthe, przedstawiła mu nas synowa jego, przyjął nas uprzejmie i o podróży naszéj kilka pytań uczynił; lecz przybycie nowych gości, odciągnęło go od nas. Zajął się on szczególniéj rozmową z kobietami, których towarzystwo lubił i poszukiwał. — Nie mogąc spędzić, jak tylko małą część wieczora w gronie zebranem u Göthego, oddalając się, przyrzekłem sobie, iż wracając z Francyi, powtórnie Wejmar odwiedzę, powtórną do wieszcza domu pielgrzymkę odbędę. Jakoż w roku 1830. jadąc z Paryża, winien zostałem, łaskawemu wstawieniu się pani Göthe, iż mi teść jéj, dzień i godzinę wyznaczył, w któréj mnie przyjąć u siebie przyrzekł, i uwiadomił mnie o nich, następującym biletem wizytowym:

Grossherzoglich Sachsen-Weimarischer
wirklicher Geheimrath und
Staatsminister
von Göthe

do którego własną ręką, dodał ołówkiem następujące słowa *„wünscht, da er heute verhindert ist, Herrn von K.... morgen Sonntags um* 12 *Uhr bei sich zu sehen.“* — O ile mnie uradowało to wezwanie, o tyle zadziwiły tytuły szumne, które obok imienia Göthego znalazłem. Czyliż tego jednego wyrazu Göthe, nie większa byłaby dostojność, jak wszystkich urzędów, tajnych radzców i ministrów. — Ale niestety! — jak często nędza natury ludzkiéj, w najwznioslejszych przebija się umysłach! — Nie uchybiłem godziny południowéj, która mi wyznaczona była. Stanąwszy w mieszkaniu Göthego, zastałem go oczekującego na moje przybycie, w tymże samym pokoju, w którym rokiem pierwéj zgromadzenie gości swoich przyjmował. Powitany z ujmującą uprzejmością, podziękowałem mu w języku francuzkim, (gdyż nie dość się czułem wprawnym w niemieckim, aby nim do Göthego przemówić) za najszacowniejsze wspomnienie mojéj podróży, które jemu będę winien. „Z ukontentowaniem zawsze widzę u siebie cudzoziemców,“ rzekł Göthe, (także w języku francuzkim, którym wolno mówiąc, z łatwością i dobrze się tłumaczył) „chcących mnie odwiedzić. Ich towarzystwo zastępuje poniekąd przyjemności podróży, których sobie, w moim wieku, dozwolić nie mogę. — Rozmawiając z nimi, i ja podróżuję, nie odmieniając miejsca; dziś naprzykład wędruję po Polsce, dodał z uśmiechem.“

(Koniec nastąpi.)

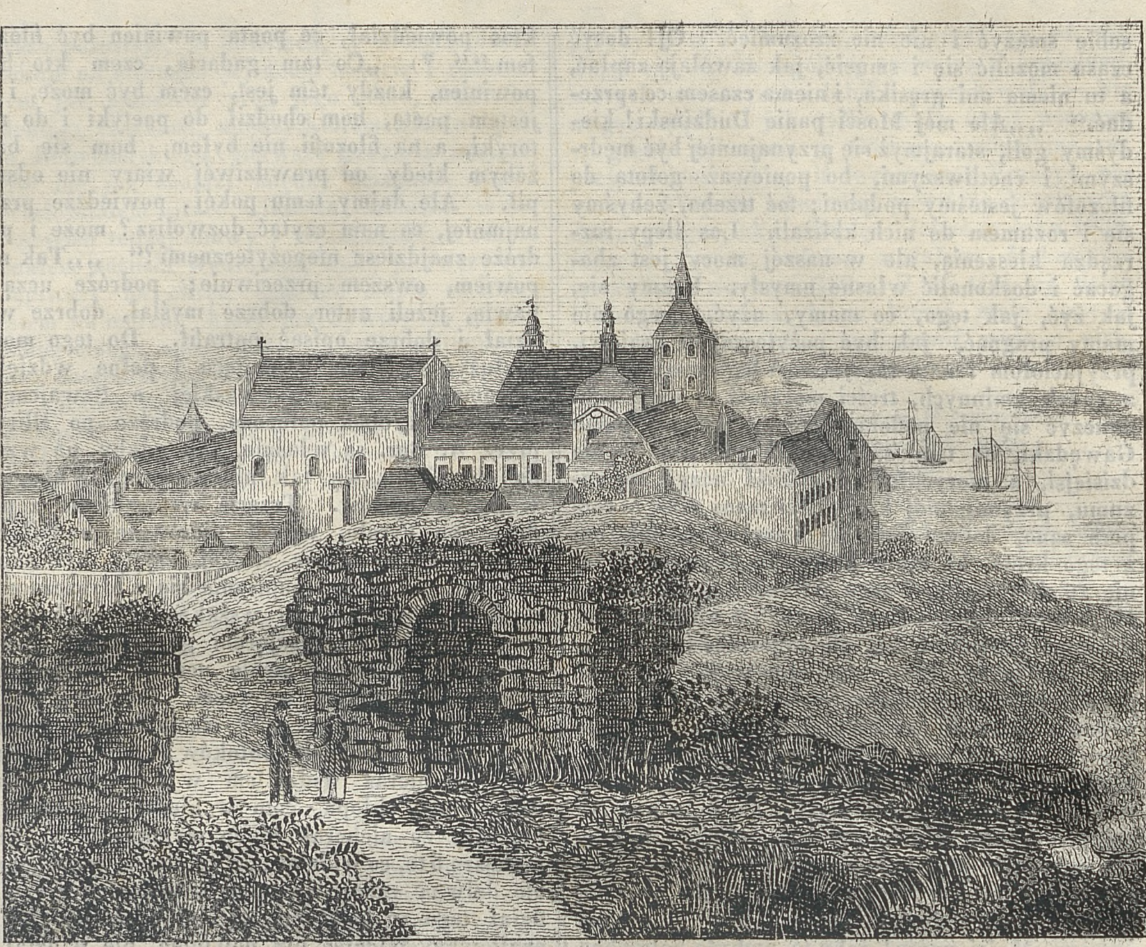
*) Pragnąc wywdzięczyć się autorowi tego zajmującego artykułu, daliśmy powyżéj wyobrażenie Göthego w młodzieńczym wieku, wtedy, kiedy do Apollina był podobny, podług równoczesnego obrazu p. Maja. Jestto idealna piękność męzka. W dawniejszych numerach, przy Rozmowach Eckermanna, oglądaliśmy już Jowisza.
P. R.

Moje widzi mi się.

„I co wam też to szkodzi, mój panie Gawędzki! niech sobie tam piszą, jak piszą. Ot dobrze, kiedy się człowiek rozerwie jaką krotochwilą przy teraźniejszéj biedzie. Wszystkoć to, prawdę mówiąc, są wyłżygrosze te Przyjaciele, Tygodniki, Gazety, i t. d. Ależ lepiéj, kiedy człowiek za swój grosz może się do woli naśmiać, niż gdyby musiał płakać, albo głowę

sobie smażyć i nic nie zrozumieć. Oj! dosyć czasu mozolić się i smucić, jak zawołają zapłać, a tu niema ani grosika, i niema czasem co sprzedać.“ „„Ale mój Mości panie Dudziński! kiedyśmy goli, starajmyż się przynajmniéj być mędrszymi i cnotliwszymi, bo ponieważ gołotą do filozofów jesteśmy podobni; toć trzeba, żebyśmy się i rozumem do nich zbliżali. Los ślepy rozrządza kieszenią, ale w naszéj mocy jest zbogacać i doskonalić własne umysły. Uczmy się, jak żyć, jak tego, co mamy, użyć, czego nie mamy pragnąć, jak być pożytecznymi krajowi, przyjaciołom i nam samym. A tego wszystkiego z gadek gminnych, treści moralnéj niemających, nauczyć się nie podobna.“‘‘ „Ej, mój panie Gawędzki, co tam się uczyć! jużeśmy to nie dzisiejsi, a nierychło na starość uczyć się rozumu, przynajmniéj kiedy jest mens sana in corpore sano, dobrze jest się i zabawić, jak oto z tego kreta, ba nie z kreta, ze skowronka, ej nie ze skowronka, z tego wilka.“ „„A ha! to nie z tego wilka i liska filuta?“‘‘ Nie, nie to, i tamtoć prawda dobre, ale to jeszcze śmieszniejsze, jak to ten kret, czy tam wilk, pozjadał placki, pieczenie, schaby, na weselu, ha ha ha! a potém piwa się nachłeptał, hi hi hi! a jakto znowu wścibił nos we wrota i patrzał dziurą, kiedy Jacek zamiast skowronka palnął cepami w łeb tatusia; tośmy wszyscy, (a było nas 10. prenumerantów słuchających,) tośmy, mówię, jak oni wilcy przewróciwszy się do góry łapami, śmiali się hu hu hu hu! Otóż to mi uciecha, kiedy człowiek ledwie nie pęknie.“ „„Ja nie przeczę, Mości panie! żeby to niebyło potrzebną rzeczą, rozweselić umysł, ale czém takiém, co jest dowcipne, trafne, jednak trzeba zawsze starać się miscere utile cum dulci.“‘‘ „O! wszakci to mój panie lada kucharz potrafi, mój nawet słodko, kwaskowato i pieprzno przyprawić umie.“ „„Ale nie idzie tu mój p. Dudziński o słodycz dla brzucha, ale dla umysłu, to jest: o piękność myśli i sens moralny.“‘‘ „A wszakże nam powiedział pan Czuchrajski, że w tém, co ten kret ryje, są jakieś allegorye.“ „„Może są, ale tak głębokie, że ich ów wilk łapą wygrzebać nie mógł i dla tego też my ich widzieć i czuć nie możemy.“‘‘ „Eh, co tam, ale kreta dostał i na suty obiad zarobił, a to jest podług mnie rozum, umieć się stać komu potrzebnym i zato cudze obiady zjadać, tu jest nauka, dowcip, i pożytek.“ „„A gdzież poczciwość? bez któréj rozum do wybiegów użyty, jest tylko rozumem wilczym, to jest narzędziem do łupieży i bezprawiów pomocném. Poczciwość powinna być celniejszym przedmiotem wszystkich zabiegów naszych i prac literackich; w tém zaś, gdzie się na jaw odkrywa chytrość, podstęp, łakomstwo, nienawiść i t. p. wady; powinna się mieścić obok nich hańba i nieszczęście, jako skutki niecnego postępowania. Wszakże wszelkie tego rodzaju gadki, bajki o zwierzętach, jako fikcye, należą do rzędu poezyi, a niedawno dobrze ktoś powiedział, że poeta powinien być filozofem.“‘‘ *) „Co tam gadacie, czem kto być powinien, każdy tém jest, czém być może, i ja jestem poetą, bom chodził do poetyki i do retoryki, a na filozofii nie byłem, bom się bał, żebym kiedy od prawdziwéj wiary nie odstąpił. Ale dajmy temu pokój, powiedzże przynajmniéj, co nam czytać dozwolisz? może i podróże znajdziesz niepożytecznemi?“ „„Tak nie powiem, owszem przeciwnie; podróże uczą i bawią, jeżeli autor dobrze myślał, dobrze widział i dobrze opisać potrafił. Do tego mogą posłużyć za wzór zajmujące i pełne wdzięku wspomnienia pani Nakwaskiéj o Szwajcaryi. Drugie zaś obok położone, podróże po Illiryi, przez A. Gor. są właśnie, jak gdyby na wzór do chronienia się tak niesmacznych i ubogich w rzeczy opisów. Trzecie wspomnienia z podróży po Tyrolu, więcéj nierównie budziłyby zajęcie, gdyby autor więcéj zajęty był samą podróżą, niż chęcią popisania się z błyszczącemi myślami, i wyrazami; wszakże człowiek uniesiony roskosznie otaczającém go piękném przyrodzeniem, tłumaczy swoje uczucia miłym, naiwnym, nienadętym wyrazem. Poznałeś panie Dudziński ten obraz: „W cieniach nocy zbladł śmiertelnie kochanek obłoków?“‘‘ „Poznałem, bo nieraz widziałem w księżycu tłustą twarz tego chłopa, coto w niedzielę młócił, i prawda, że nieborak blado wygląda.“ „„Nu, mniejsza o to, co widział taki człowiek, jakW.pan, ale dziwna rzecz, że autor wspomnień nie widział tego w księżycu, co człowiek jenialny i exaltowany widzieć był powinien, nie widział i nie uczuł tego, co podnosi mędrca do poznania prawd najwznioślejszych, wieszcza do pomysłów najpoetyczniejszych, zakochanego do marzeń najtkliwszych, najpieszczeńszych; ale widział w zimnéj wyobraźni „bladość śmiertelną kochanka obłoków.“ Nie w tak odrażającéj barwie przedstawił nam się nasz miesiąc, kiedyśmy się, panie Dudziński, jak przed 50 laty bywało, kochali?“‘‘ „Oj prawda, prawda, ja tak lubiłem miesiąc, ale najbardziéj, gdy zaszedł. Ale, daj Waćpan pokój, mnie się ten opis podoba, a szczególniéj w miejscu, gdzie powiada: „Błyszczał w słońcu, jakoby z brylantów rznięty czubek góry.“‘‘ „„Mnie się zaś nie podoba, bo poniża wspaniałość wyobrażanego przedmiotu; może wprawdzie malarz oddać z dobrym skutkiem wielkie

*) Jeżeli pan Gawędzki na złe tylko powieści gminne powstaje, to jest albo błahe z treści, albo powykrzywiane i pofałszowane opowiadaniem, lub też niezgrabnie opowiedziane, kiedy pan autór sam nie wie, czego chce; natenczas zgadzamy się z nim zupełnie. Ale wtedy, nie powiastkom, nie piosenkom gminnym, owym dziko rosnącym kwiatom na obszarze poezyi narodowéj; lecz ich zbieraczom winę przypisać należy. Zdaje nam się jednak, że p. Gawędzkiemu, pomiędzy nami mówiąc, zarywającemu trochę na staroświeckiego Gawędę, cały ten kram nie przypada do gustu; że go coś razi dążność ostatniego wieku, objawiająca się także i w poezyi. Do tego mniemania jest mi powodem list Waćpana z dawniejszéj daty. Wszak prawda panie Gawędzki?



Widok Grudziądza.

przedmioty w miniaturze dla oka; lecz umysł zdoła pojmować obrazy największéj miary i w takich sobie podoba; jabym wolał na tych olbrzymich gór szczytach, widzieć wspaniały tron natury, jaśniejący blaskiem purpury i brylantów, niżeli rznięty z brylantów czubek, który tak jest podobny do niebotycznych Alpów, jak wspaniały nos Waćpana do guzika.“ “ „Przyznam się Waćpanu, panie Gawędzki, żem się trochę przeląkł i zgorszył, przeczytawszy, jak ten pan chciał całą atmosferę w swych piersiach pochłonąć lubieżnie; ale zato, jak przeczytałem daléj, że w powietrzu tętniało, jak w kościele podczas podniesienia, omałom, na kolana upadłszy, czołem niebił; i ręczę Waćpanu, że nawet nasz organista lepszego porównaniaby nie zrobił.“— „„Otóż i ja teraz z W.panem na kolana upadnę, i poprzestawszy wytykać błędy, przyznam sumiennie autorowi wspomnień, zasłużone zkąd inąd zalety, a najprzód między innemi, że obraz Włocha i Tyrolczyka wiernie skreślił; że nas przedstawieniem miejsc, walecznością Hoffera wsławionych, mocno zajął; że przejście z kraju Tyrolów do Włoch, przyjemnie oddał. Czujemy z roskoszą ten wiatr ciepły, który Adyga z italskiéj ziemi na swych falach pieści, i w coraz bardziéj szerzącą się dolinę zawiewa. Odtąd już aż do końca nie zgrzeszył nadętym stylem, ani niewłaściwym obrazem, więcéj się zajął przedmiotami podróży i mocniéj nas interesował wyjąwszy W.pana, mości Dudziński, który odtąd począłeś drzymać.“ “ „A cóż W.pan powiesz o Wycieczce do Krakowa?“ „„Oto, że z nas sobie autor jéj zażartował, bo więcéj dotrzymał, niż przyrzekł. Łatwiéj jest bowiem podróże malownicze obcego kraju powabnym stylem skreślić, osobliwości z cudzych dzieł wyjęte sobie przyswoić, niżeli wobec patrzących świadków, szczegóły jakiego miasta, lub okręgu, gruntownie opisać, podania historyczne wyśledzić, sztuki i przedsiębierstwa okiem badacza i znawcy ocenić, i przedstawić nam to, na co częstokroć patrzymy, a nie widzimy.,‘“ „Eh, co mnie po tém, wiedzieć, jakie książki się drukują, jakie obrazy malują, jakie kto ryciny posiada, jakie w okolicy domy, ogrody, widoki, i kopalnie się znajdują, to mnie ani bawi, ani zadziwia.“ „„Ale bo też to nie dla samych Dudzińskich pisać się powinno, wprawdzie imienników W.p. jest najwięcéj, ale też i nam Gawędzkim coś się należy.‘“

„A ja Waćpanu teraz wytnę prawdę, oto jeszcze się ten nie urodził, ktoby Waćpanu i jego całemu imieniowi dogodził. Waćpan wszystko krytykujesz, a co najgorsza, mnie we wszystkiém kontradykujesz. Podajno Waćpan te nasze ramoty do Przyjaciela Ludu, to obaczysz, jakci się tam moi imiennicy dadzą we znaki; dowiodą ci, że się na niczem nie znasz, i powiedzą: „ne Sutor ultra crepitam.“ “

Gawędzki od Karpatów.

Grudziądz.

Leży na wysokim wschodnim brzegu Wisły, przez którą prowadzi most na łyżwach, 2700 stóp długi, a 16 stóp szeroki, w regencyi kwidzyńskiéj (Marienwerder,) o pół mili od ujścia rzeki Ossy do Wisły, 8 mil od Torunia, 12 mil od Gdańska, 21 mil od Królewca, wysokiemi murami otoczony. Grudziądz ma 5 kościołów katolickich, 1 luterski, klasztór Benedyktynów, zniesiony r. 1835., 3 przedmieścia i trzy bramy. Wodę sprowadzają z Ossy za pomocą wodociągu i machiny, pędzącéj wodę na 70 stóp do góry, któréj wynalezienie przypisują sławnemu Kopernikowi. Mieszkańców liczy to miasto około 8200, powiększéj części Katolików, trudniących się najwięcéj handlem zbożowym, sukiennictwem i t. d.; jest to miasto powiatowe, ma seminaryum nauczycielskie, dwie szkoły miejskie i różne publiczne zakłady. Okolica Grudziądza jest bardzo obfita, równie jak położenie nad Wisłą korzystne dla handlu i romantyczne. Przedmieścia zowią się: Wiewo, Frettro i toruńskie.

Grodek, czyli Grudziądz, był już warowném miejscem starych Prusaków, które Bolesław Śmiały, król polski, r. 1060 naprózno oblegał. Świętopełk, książę pomorski, zdobył je r. 1242; później przeszło w ręce Krzyżaków, i od roku 1299 nowo wybudowany. Tuż przed miastem, na wzgórku, panującym nad Wisłą, założyli oni obronny zamek, teraz leżący w ruinach. Po klęsce zakonu pod Tannenbergiem (d. 15. lipca 1410) Polacy zdobyli Grudziądz i od tego czasu aż do podziału kraju, zostawał Grudziądz w ich ręku. Od roku 1770. — 1776. kazał Fryderyk W. pół mili od miasta, ku północy, na wzgórku, podług własnego planu, mocną twierdzę założyć, tworzącą wraz z Gdańskiem ważną militarną pozycyą. W ostatnim czasie, Grudziądz, oblężony przez Francuzów, nie był zdobytym; kommendantem był l'homme de Courbière.

Według powieści gminnéj, wody Bałtyku niegdyś aż do tych miejsc się rozciągały.

Chluba wiejska.

(Koniec.)

Niespodzianie pułk odebrał rozkaz do pochodu: młody rycerz struchlał na tę wiadomość. Długo się z sobą pasował, i dopiero w ostatni dzień, wieść tę, przy wieczornéj przechadzce, objawił dziewicy.

Nigdy u niéj nie postała myśl rozłączenia. Nagle ze snu swego szczęścia przebudzona, uważała ją za największą okropność, rozrzewniając się z szczerością niewinnego dziecięcia. On tuląc ją do piersi swoich, całował łzy, po jéj jagodach płynące. Powolna dziewica nieuchylała się bynajmniéj, gdyż są chwile, w których boleść miesza się z słabością i same miłosne pieszczoty uświęca. Przyrodzoną mu była popędliwość; obraz piękności, w jego objęciu tonącéj, pewność uzyskanéj nad nią przewagi, obawa utracenia jéj na zawsze; to wszystko dopomogło mu pokonać szlachetne uczucie; poważył się więc dać jéj radę, aby ojczyste opuściła progi i skłoniła się do dalekiéj z nim podróży.

Jeszcze nasz młodzian nie pojął całéj sztuki podejścia, płonął się i zająkał przy rozwijaniu swéj pokusy; jego zaś ofiara była tak obcą wszelakiéj skazie, iż osnowy jego knowań ani się domyślić, ani zrozumieć mogła, dlaczegoby rodzinne miejsce, albo ubogą strzechę swych życiodawców opuścić miała. Gdy przecież właściwą treść jego zamiaru, jakby błyskawica, dla jéj umysłu wyjaśniła; spełzły wszelkie nadzieje. Już ona nie rozwodziła płaczu, ani żadnych wyrzutów: ale ścisnąwszy wargi milczeniem, odskoczyła jakby przed wężem, przeraziła go spojrzeniem trwogi, która jego duszę wskróś przeniknęła; załamała z rozpaczą ręce i biegła niby schronienia szukając w ojczystéj chacie.

Odszedł i młodzieniec, pełen upokorzenia i żalu. Trudno byłoby oznaczać granice jego wewnętrznéj walki, gdyby poruszenia nagłego pochodu nie położyły jéj tamy, inny kierunek nadając myślom. Nowe koleje życia, nowe zabawy i nowe społeczeństwa, ukołysały w jego łonie zgryzotę, którą sam podżegał, i uśpiły miłość; przecież w saméj wrzawie obozu, między zgiełkiem wojska, wśród szczątku orężów i w zapale bitwy, zwracały się jego myśli do obrazów ziemiańskiéj ciszy, do samotnéj wioski, do ubogiéj lepianki, ścieszki, wijącéj się nad srebrzystym potokiem, obok gęstéj krzewiny, i do owéj dziewicy, rozbierając ciągle, jak ona tam hasała na jego ramieniu wisząc, i jak goniła źrenicą roztajaną w tkliwości wszystkie jego skinienia.

Ten piorun, który jedném uderzeniem cały raj biednéj dziewicy rozbił, nader był straszliwy! Omdlenie i słabości wcisnęły się w jéj wdzięczną postać, a późniéj nadeszła ciągła i trwająca tęsknota. Patrzyła z okna na pochód idącego wojska. Widziała, jak jéj wiarołomny kochanek, przy odgłosach trąb i łoskocie broni,

niby z tryumfem odchodził. A gdy poranne słońce swój promień na nim rozsiało, gdy wietrzyk zaczął igrać z kitą na głowie jego, pożegnała go raz ostatni żałosném spojrzeniem; on zaś zniknął, jak świecąca gwiazda dla jéj oczu, obwodząc ją zewsząd pomrokiem.

Ogłaszać szczegóły jéj dalszego życia, byłoby to powtarzać pospolite dzieje, obejmujące zwyczajne przygody nieszczęśliwéj miłości. Odtąd stroniła od ludzi i błąkała się samotnie po owych błoniach, które tak często z swoim kochankiem zwiedzała. Zalana łzami i drażniąc pożerającą boleść, lubiła milczenie i samotność, na kształt zranionéj łani. Czasem, pod późny wieczór, ujrzano ją w kruchcie kościoła siedzącą. A mleczarki z pola wracając, nieraz słyszały, gdy jękliwe pienia po ścieszkach krzewiny śpiewała. W przybytku Pańskim tajało jéj serce gorącością modlitwy, a gdy zbliżyła się ku sędziwym ludziom, lubo znędzniała, przecież z suchotnym rumieńcem na twarzy i z tą świętą smętnością, którą głębokie strapienie po budowie ciała rozwłóczy, każdy umykał jéj z drogi, niby przed duchem z innego świata; potrząsał głową, jakby złowieszczbne przeczucia tłumacząc.

Nareszcie własne przekonanie już ją ostrzegło, że się jéj grób otwiera, w którym prawdziwy widziała spoczynek. Już pękła nić złota, jéj istnienie wiążąca, już pod słońcem wszelka roskosz dla niéj umarła. Kiedyś tylko przecedziła się w jéj łonie odraza ku oblubieńcowi, ale teraz wszystko zgasło. I dla gniewu nie była już przystępną; co więcéj, w chwili tkliwego uniesienia, napisała nawet list z pożegnaniem. Tam użyła prostego języka, i ta prostota właśnie rozrzewnia. Tam oświadcza, że śmierć już przed nią krąży, ani mu tai, iż on jest wszystkiego sprawcą. Skreśla mu swoje cierpienia i męki, i tém kończy, że dopóty nie umrze spokojnie, dopóki mu nie ogłosi przebaczenia i nieda błogosławieństwa swego.

Opadały jéj siły zwolna, tak dalece, że za próg wyjść nie mogła. Ledwie zawlokła się pod okno, w którem tę znajdowała roskosz, iż siadłszy na stołku, patrzyła w daleką okolicę. Dotąd niepodniosła żadnéj skargi, ani się zwierzyła komu z téj troski, która jéj duszę dręczyła. Nie wyrzekła nigdy nazwiska swego oblubieńca, ale teraz przyparłszy głowę do łona matki, szlochała ciężko. Jéj biedni rodzice spoglądali z cichą trwogą na więdniejący kwiat swéj nadziei, i wróżyli sobie, że się jeszcze orzeźwi, zwłaszcza, że jakaś wesoła i nadziemska pogoda rumieniąc niekiedy jéj usta, zdawała się obwieszczać jéj rychłe zdrowie.

Tak siedząc w środku rodziców, po obiedzie w jednę niedzielę, ściskała ich ręce swoją dłonią, a przez otwarte okno, wnikał świeży wietrzyk, zwiewając wonność z kwitnącego krzewu, który sama przy ścianie wsadziła.

Wtedy jéj ojciec właśnie odczytał jeden rozdział z pisma świętego. Była tam mowa o nędzy i marnościach świata, tudzież o szczęśliwości nieba; i dla tego pociechą i weselem błysnęła. Zwróciła swe oczy ku wiejskiéj świątyni, gdzie dzwon wzywał do wieczornéj modlitwy; jeszcze kościelny nie wyszedł z kruchty, cała wieś zapadła w tę głęboką ciszę, która pokój błogosławionego żywota zdobi. Rodzice wlepiali w nią oko z zakrwawioném sercem. Choroba i cierpienia, które spustoszenie szerzą w piękności, nadały jéj wyraz Serafina. Jakaś łezka zadrgnęła jeszcze w jéj słodkiém oku; myślałaż ona o wiarołomnym? czyli téż jéj wyobrażenie nie bujało po rozległym cmentarzu, który już był gotów do jéj pochłonienia.

Nagle zatętnił grzmot podkowy, jeździec przytarł do lepianki, i skoczył z konia pod samém oknem. Biedna dziewica jęknęła słabym krzykiem i padła znowu na krzesło; byłto jéj żałujący kochanek. Wpada do izby i ku niéj pędzi; lecz zniszczona postać, umierające oblicze, które, mimo bladości i spustoszenia, jeszcze zajmowały, ciężkim pociskiem jego duszę ugodziły; tak pełen śmiertelnéj męki, do jéj stóp się rzucił. Ona nie mogła już wstać o swéj mocy; chce wychylić drzącą rękę; jéj poruszone usta niby coś szepcą, ale nie słychać i słowa; wejrzała na niego z uśmiechem roztkliwionéj miłości, i zawarła powieki na zawsze.

Otóż osnowa podania, które z żywych języków zebrałem. Jest ono zbyt krótkie i niema, sam wyznaję, dosyć ponęt nowości, aby nas zająć mogło. Przy dzisiejszym szale dziwacznych urojeń, wśród powieści zaprawionych zdziczałą wybujałością, utraci ono wartość; przecież niewolno mi utaić, że przylgnąłem do niego kiedyś z upodobaniem; a gdy się związało z rzewliwym obrzędem, którego oczywistym byłem świadkiem, ztąd wyżłobiło w mojéj pamięci wrażenie, daleko silniejsze od tysiącznych zdarzeń. Później odwiedziłem znowu to miejsce, i z szlachetniejszych od ciekawości pobudek, poszedłem raz jeszcze do świątyni. Był to wieczór w zimowéj porze, drzewa stały odarte z liścia, cmentarz wyglądał nago i posępnie, a wicher szumiał z świstem po suchéj chróścinie. Lecz i wtedy w około mogiły téj ulubionéj dziewicy, posadzono zielone rośliny, i tak się usklepiły płaczące wierzby nad darniną, iż jéj nikt deptać nie mógł.

Zastawszy podwoje kościoła otwarte, wstąpiłem do niego. Wisiały tam jeszcze i ów wianek i owa para rękawiczek, jak w dzień żałobliwego pogrzebu. Kwiaty zupełnie już uschły, ale ciągłe miano baczenie, aby żaden pył na ich białości nie osiadł. Po różnych miejscach oglądałem wiele pomników, nad którémi pociła się sztuka, chcąc zająć widzów; alem nigdzie nie znalazł tkliwiéj do serca przemawiającego; ten jeden był rzetelnie tyle czułym,

ile prostym i godnym nagrobkiem zawcześnie zgasłéj niewinności.

Ułamek z podróży po Szwajcaryi.

(Ciąg dalszy.)

Na co ta chata służy? spytałem się przewodnika, którego smutne wejrzenie, mnie uderzyło. Jest to *mortuarium* klasztoru, odpowiedział, gdzie składają ciała znalezione w bliskości. Patrzajcie panowie, na tym samym kamieniu, gdzie teraz spoczywacie, znaleźliśmy owego młodzieńca 20. marca, roku zeszłego, i wskazał na porządnie ubrane ciało, którego głowa na piersi zwieszona, ręce między kolana wciśnione, jakby we śnie pogrążone, w rogu chaty spoczywało. Nie wiele on cierpiał; śmierć się do niego nieznacznie zbliżyła; lecz nie z wszystkiemi tak bywa: patrzcie, panowie, na ową kobietę; ręce jéj całkiem pogryzione; w okropnych męczarniach skończyć musiała. Odeszliśmy ztąd smutni w dalszą drogę, żałując prawie, żeśmy się tak daleko zapuścili. Jeszcze dwie godziny drogi do przebycia nam zostawało, tymczasem wiatr spędzając śnieg z wierzchołków, coraz stawał się gwałtowniejszym. Spoglądając na drogę przebytą, niemogliśmy się dosyć wydziwić śmiałości tych, co bez przewodnika, podróż tę przedsiębiorą, tam, gdzie drogi bitéj niema i gdzie tak łatwo zbłądzić można. Myśl o burzy, mogącéj powstać i zmusić znużonych, do przepędzenia przynajmniéj dnia jednego bez dachu i pożywienia, podwajała nasze siły. Tak więc z wielkiém natężeniem postępowaliśmy daléj; wtém dało się słyszeć mocne i ciągłe psów szczekanie. Na ten znak wydaliśmy wszyscy radosny okrzyk: klasztór! klasztór! Marodery pospieszyli za nami, wesołość wróciła, zapomnieliśmy o znużeniu, i zaczęliśmy pieścić pięknego kundla, który się do nas przyłączył i wprzód wietrzył, czy nikt się w tyle nie pozostał. Dla doświadczenia jego czujności, zszedł jeden z nas w padół i usiadł, jakby daléj ujść nie mógł. Natychmiast zbliżył się do niego pies i uchwyciwszy go za suknią, ciągnął z sobą, jakby mu powiedzieć chciał, że koniecznie daléj postępować musi. Po upływie kilku minut, ujrzeliśmy klasztór przed nami.

Obydwa budynki, z których się składa Hospitium, wystawione są trwale, lecz bez żadnych ozdób; nie miano czasu myśleć o ozdobach architektonicznych. Znajdują się na szerokim grzbiecie góry. Głębokie i ponure jezioro leży nie daleko klasztoru, i jeszcze smutniéj odbija od wrażenia, jakie wierzchołki obnażone, ze wszą̨d sterczące, na przechodnia czynią. Gdzie niegdzie wystają szczyty śniegiem okrytych skał i rzucają przemijający blask na powierzchnią jeziora. Dzwonieniem uwiadomiliśmy o naszém przybyciu. Prosto ubrany sługa wprowadził nas do wspólnéj sali, gdzieśmy młodego znaleźli księdza. Przyjął nas jak najuprzejmiéj i spytał, czy jest naszem życzeniem noc w klasztorze przepędzić, lub do Aosty się udać? Skoro okazaliśmy chęć pozostania w klasztorze, odpowiedział nam: „to dobrze; ale ponieważ godzina druga, a my o godzinie 7méj obiadujemy, więc potrzebny wam posiłek. Znam ja, jaki głód czują ci, co nas odwiedzają.“ Z pośpiechem, jaki w najlepszych oberzach rzadko się trafia, zastawiono nam stół ozdobnie nakryty, najsmaczniejszemi mięsnemi potrawami zastawiony, z wybornym serem i kilką butelkami mocnego wina włoskiego. Jak tylko głód nasz zaspokojonym został, okazaliśmy chęć oglądania wszystkiego, co w budynku godnym widzenia było. Przejrzeliśmy cały klasztór, okazano nam cele, izby dla podróżnych, a w każdéj trzy znajdują się łóżka; pokoje ogrzane kanałami wewnętrznemi; mieszczą się w nich wszelkie przedmioty, ku wygodzie służące, jak w najlepiéj urządzonym domu. Lecz skoro przystąpiliśmy do okna i odsłonili firankę, zakrywającą widok, smutek ogarnął nas i w zadumanie nas wprawił: wtedy dopiero poznaliśmy całą wielkość poświęcenia owych szanownych mężów, którzy dobrowolnie życie swe skracają, dla ocalenia swych bliźnich. Dziewięć wieków zamieszkali ludzie na tych lodowatych szczytach. Cóż ich do tego pobudza? czy sława, duma, lub zysk osobisty? Nie, cały odmęt żyjących pod ich stopami pogrążony. Wysokość pięciu tysięcy stóp, oddziela ich od wszelkich zabiegów świata. Pomiędzy wszelkiemi dziełami namiętności ludzkich, mało które tysiąca lat dochodzi: gdy tymczasem dzieło miłosierdzia, ujrzało tyle wznoszących i upadających mocarstw. Zasadą téj fundacyi, jest miłość bliźniego, a miłość Boga jéj nagrodą. Zobowiązanie się do usług w klasztorze Ś. Bernarda, jest dobrowolne; żaden religijny, lub moralny przymus, nie krępuje szanownych ojców. Ci, co dosyć powołania i siły czują do przemieszkiwania lat siedmiu w owéj pustyni, zgłaszają się sami i spokojnie, nie szemrząc wcale na los, trudny zawód wypełniają, jaki ochotnie przyjęli. Obowiązek ten połowę życia skraca, i nie przedstawia, ani nagrody, ani wywyższenia. W owym twardym klimacie nikt dłużéj nad czterdzieści lat nie żyje, a siedm lat, które zakonnicy w nim przepędzają, niszczy ich zdrowie, bieli ich włosy i przed czasem siwizną okrywa. A przecież życie to, powab niejaki nadawać musi, gdyż zakonnicy, co w wygodnym klasztorze w Martigny mieszkają, często na górę wracają, aby choć kilka tygodni w swych dawnych zamieszkać mogli celach.

(Koniec nastąpi.)

Wspomnienia podróży do Tatrów.

Tam, rozmawiały z sobą niebosiężne Tatry,
Ubrawszy czoło w śniegi, a podnóże w kwiecie;
Rozmawiały milczeniem, szalejące wiatry,
Dzwoniąc ową rozmową po szerokim świecie,
I o ich piersi twarde, o piersi z granitu,
Odbiwszy się, leciały aż do sklepień szczytu!

Tam, jedna skała w konchy i muszle ubrana,
Mówiła do sąsiady: „Jakiż to dzień minął,
Wczora jeszcze wodnistym pierścieniem oblana,
Dziś się promienny widok przedemną rozwinął;
Wczora jeszcze wieloryb wpychając w głąb ziemię
Przesuwał po mym grzbiecie, rozległe obwody;
Niejeden potwór morski roztaczał swe brzemie,
A dzisiaj na mém czole zawisnęły lody;
Dziś błyskawica z gromem wypadłszy z obłoków,
Pląsa w łoskotnym szumie spienionych potoków.
I na mém łonie ślubne odprawuje gody!“

A na to jéj poważna, sędziwa sąsiada
Granitowym językiem wzniośle odpowiada:
„Tyś jeszcze bardzo młoda, córko moja droga;
Ale ja zapamiętam pierwsze dni stworzenia.
Widziałam wtedy Boga, tworzącego Boga;
A Bóg nie był ciemnością i nie miał promienia,
Bóg był tchem i żywiołem. Na wszechmocne tchnienie,
Wody się oddzieliły i lądy stężały.
Zabłysło światło, zmierzchłe wzięła noc odzienie,
A Bóg był wtedy Bogiem nieobiętéj chwały;
Pod nim piorunami wzdęte oceany grały,
Góry nabrzmiałą piersią na jego skinienie,
Rosnąc, bodły niebiosa i Stwórcę witały.
Na dwóch polarnych gwiazdach, On położył dłonie,
Księżyc i słońce pyszne osnuły mu szaty,
Piorun był jego słowem, a błyskawic kwiaty
Ognistym wieńcem boskie potrząsnęły skronie.

Ja stałam nad morzami, a marmur zdziczały
Krzemienną stopą deptał me odwieczne skały,
Aż nadciągnęła burza, lunęły potoki,
Ziemia się wstrzęsła, morze uciekło z łożyska,
Grzmiał świat potęgą wichrów, rwały się opoki,
I na zsypisko gruzów spadały zwaliska,
Wtém Bóg rozpędził chmury: i otóż dzień świeci.

Tu góra zamilkła, kołem niezmierzone skały
W obłoki swój wierzchołek dźwigają wspaniały,
A u stóp ich pagórki rosną kształtem dzieci.
Gwiazdy obsiadły w rzędach ramiona olbrzyma,
I złocistemi w przepaść sięgają oczyma.
Wiatr zasnął, koziodrzewy czernią się wysoko,
A u spodu zielone, wielkie morskie oko; *)
Ono pysznie chełboce zwierciadlane fale,
I nadbrzeża odbija w źrenicy kryształe.
Tuż nad nim w czarnych smugach powiewne mgły dyszą,
W nich się dwoją opoki i gwiazdy kołyszą,
Rzekłbyś, że to jest siatka morskiego widzenia. **)

I głuche nieruchome jezioro i góry,
Jak gdyby Bóg się przejrzał w źwierciadle natury,
Bóg nieruchomy, tylko w namiocie sklepienia:
Coraz to nowe gwiazdy ciekawe migocą,
Na barkach skał odpoczną, dolinę pozłocą,
I pędzą daléj, gnane siłą przeznaczenia.

Na uboczy, na wzgórzu, w owych skał pobliżu,
Błyszczy napis, a nad nim Zbawiciel na krzyżu. ***)
Tam się nagle poety wstrzymała powieka:
Bo chciał nicość swą podnieść i cudom przyrody
Chciał pokazać cud większy, ów marzyciel młody,
Chciał on pokazać Bogu przemianę w człowieka;
Lecz gdy spojrzał na siebie i w przestrzeń stworzenia,
Spuścił głowę . . . .

Już słońce twarz swą rozpromienia,
I blaskiem swym całuje niebosiężne szczyty;
Rumienią się odwieczne ziarniste granity;
Błyszczą, lecz nie topnieją na ich czole lody;
A niżéj przezroczyste zielenią się wody.
Morskie oko spogląda słupem w oczy słońca;
Spogląda bez zmrużenia, spogląda bez końca,
Aż słońce wzrok odwróci, i przemknie na wiatrach;
Bo morskie oko nagie, już niema powieki,
Morskie oko ocean wypłakał przed wieki.
Wypłakał wśród potoku i zostawił w Tatrach!

---

*) *Obraz z natury wzięty; morskie oko jest istotnie zielone.*

**) *Siatka widzenia (retina), na któréj malują się przedmioty w głowie ludzkiéj.*

***) *Przy wnijściu do morskiego oka, na małym pagórku, stoi krzyż z napisem: Nec plus ultra; tam bowiem doszedł Franciszek, cesarz Austryi.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie.